◆jutrzenka◆

dodatek tygodniowy „expresu zagłębia" dla dzieci i młodzieży
pod redakcją czarnego wujaszka

Rok III. Sosnowiec, niedziela 1 maja 1938 r. Nr. 34

Koleżanki i Koledzy!

Pragniemy Was wciągnąć do akcji, którą zapoczątkowaliśmy w naszej szkole, a mianowicie do ufundowania choć jednego samolotu przez uczniów i uczennice wszystkich szkół w Polsce

Koleżanki i Koledzy jest nas przeszło cztery miliony, zjednoczymy się we wspólnym wysiłku, zbudujemy Polsce mocarne skrzydła, ufundujemy wspólnymi siłami samolot.

Pomyślmy, gdyby każde dziecko szkolne dało tylko jeden grosz miesięcznie możnaby kupić samolot, wzmocnić potęgę Polski. A więc zachęcajmy jedni drugich słowem i czynem, a w górę się wzbije powietrzny mocarz, przed którym zadrży najsilniejszy wróg. Zadrży, bo wielką jest potęga Państwa, w którym nietylko starsi, ale i młodzież myśli o obronie granic.

Młodzieży szkolna do czynu! Kto pragnie wzmocnić potęgę Polski niech namawia wszystkich — Koleżanki i Kolegów, całą szkołę i przesyła zebrane składki na konto P.K.O' — Komitet Budowy Samolotu Szkół Powszechnych przy Szkole Powszechnej Nr 18 w Sosnowcu. Konto czekowe Nr. 304.732.

Z koleżeńskim pozdrowieniem

Młodzież Szkoły Powszechnej Nr. 18 w Sosnowcu.

Sosnowiec, dn. 6. IV. 1938 r.

Z ZA SIEDMIU RZEK

Z za siedmiu rzek
Z za siedmiu gór,
Z za kłębowiska chmur
Lecą gromadnie
Ptaszki — przyjaciele,
Niosąc ze sobą
Radość i wesele
Przy ich powrocie
Świat się weseli
I wita radośnie
Ptaszków — przyjacieli.

DZIEWCZYNKA Z TAHITI

Przyjaźn Danusi z Klarą zaczęła się tego dnia, kiedy szczupła, czarnowłosa Klara w parku w ciepły, majowy dzień drżąc i kuląc się z zimna powiedziała swoim śpiewnym cudzoziemskim akcentem: „Bo ja tak okropnie marznę...“

Danusia, która właśnie marzyła o tym, aby teraz, zaraz, w tej chwili móc znaleźć się nad brzegiem rzeki — takiej zielonej, całej roznigotanej od srebrnych połysków słońca — i zanurzyć się w chłodnej wodzie, i popływać, spojrzała na Klarę, na jej gruby, wełniany sweter i szalik na szyi.

Pewno jesteś chora — zauważyła —powiedz o tym pani, to cię odeśle do domu.

Ale zaraz przypomniała sobie to, co jej opowiadały inne dziewczynki, że Klara wcale nie ma domu, ani rodziców, ani rodzeństwa. Że ci pańs two, którzy ją przywieźli z Tahiti... I bardzo jej się zrobiło żal małej zziębniętej w majowym słońcu Klary.

— Tobie dlatego tutaj jest tak zimno, że jesteś prawie Murzynką — powiedziała, patrząc na złoto-brunatne, smagłe ręce Klary.

A Klara nic jej na to nie odpowiedziała, tylko, skulona na ławce, dygotała tak, jakby to był luty. A właśnie kwitły kasztany, słońce paliło i było bardzo ciepło.

— Dziewczynki, wracamy! — zawołała pani i zaraz wszystkie zbiegły się i ustawiły w pary.

Parą Danusi była Klara. Danusia bardzo się cieszyła, że nie długo już będą wakacje. W przyszłym roku wybierze sobie inną sąsiadkę. Co prawda Klara jest bardzo koleżeńska i uczynna, uczy się dobrze i ślicznie mówi po francusku, ale zawsze — jest w niej coś obcego. Poprostu trudno z nią rozmawiać. I wcale nie jest przyjemnie, kiedy na ulicy wszyscy się oglądają za nią, a dzieci krzyczą: „O, jaka czarna!”. Bo przecież część tych spojrzeń pada także na Danusię...

W ogóle z Klarą było tak: przed dwoma laty, kiedy pani kierowniczka weszła do klasy prowadząc za rękę małą dziewczynkę o brązowej twarzyczce, wszystkie uczennice były bardzo dumne. W całej Warszawie, a może nawet w całej Polsce tylko one mają koleżankę z Tahiti. Nie było końca pytaniom, oglądaniu, szeptom. Ale prędko znudziło się to całej klasie. Bo tak: przede wszystkim Klara wcale nie była rozmowna ani wesoła. Wiosną patrzyła przez okno na drzewa i niebo i milczała. A zimą prawie wcale nie przychodziła do klasy — wiecznie chora, wiecznie zmarznięta, jakaś taka nastraszona jak chory ptak w klatce. Nie można jej było zabrać na ślizgawkę, ani na kajak. Nie, naprawdę, nie było w tym chyba winy dziewczynek, że ta mała cudzoziemka została cudzoziemką. Taka jakaś obca i niedostępna.

— Ona tęskni — powiedziała mama Danusi, kiedy jej córeczka opowiadała o dziewczynce z Tahiti.

Ale Danusia nie zwróciła na to

uwagi, bo akurat miała na jutro bardzo trudne zadanie z rachunków

W kilka dni po tej rozmowie w parku tatuś Danusi zawołał do siebie córkę. Okazało się, że telefonowała pani kierowniczka. Klara, która mieszka w internacie przy szkole, już od kilku dni leży (jest przeziębiona) i pani kierowniczka bardzo prosi, żeby Danusia ją odwiedziła i pomogła w odrabianiu lekcji.

— Ja? — zdziwiła się Danusia.

Miała właśnie zamiar iść z Włodziem, swoim starszym braciszkiem, daleko, aż na Koło, obejrzeć nowe osiedla robotnicze, i wcale nie była zadowolona z tego zaproszenia. Tym bardziej, że Włodek, urwis taki, odrazu zaczął pokpiwać z siostry: Danka — murzyńska niańka!

— Danka — murzyńska niańka!

Aż tatuś musiał się odezwać i powiedzieć, że przede wszystkim już czas, aby uczeń siódmego oddziału wiedział, że mieszkańcy Tahiti wcale nie są Murzynami, tylko Polinezyjczykami, a po wtóre — chorej koleżance chyba trzeba dopomóc, choćby była nawet zielona, nie tylko brązowa.

Kiedy Danusia nadeszła, Klara leżała w łóżku. Jej ciemne loki wyglądały prześlicznie na białej poduszce. Smagłe, szczupłe rączki chorej tak serdecznie uścisnęły dłoń Danusi, a w smutnych oczach było tyle radości, że od razu spacer na Koło zrobił się mniej ważny.

Okna w pokoiku Klary były szeroko otwarte, w ogrodzie mocno pachniały kwitnące akacje, nadchodził zmierzch. Na stoliczku przy łóżku chorej dziewczynki stały buteleczki z lekarstwami. Wszystko wokoło było białe: firanki, krzesełka, ściany, i może właśnie dlatego pokoik wyglądał nieprzytulnie. Danusi zaraz przypomniał się jej kącik w sypialni rodziców, taki wesoły, pełen kwiatów, kolorowych wycinanek, książek. Ona, Danusia, nigdy nie jest sama, kiedy zachoruje. Mamusia siedzi przy niej, tatuś telefonuje z biura i pyta o jej zdrowie, a Włodek—ach, Włodek nawet na spacer bez niej nie chce chodzić.

I nagle Danusia zrozumiała, jak smutno musi być Klarze, że nie ma ani rodziców, ani domu, ani rodzeństwa, nikogo. Że jest brązowa, a nie biała. Że jej zawsze zimno. Że jest tak zupełnie, ale to zupełnie sama, bo jednak pani kierowniczka to nie mamusia.

Więc pewno dlatego, że jej było tak bardzo żal koleżanki, zapytała po prostu, co Klara tu robi w Warszawie, dlaczego przyjechała z takich dalekich stron, czy nie lepiej było zostać tać tam w swojej ojczyźnie, między Murzynami. Ale zaraz pożałowała pytania, bo Klara aż się poderwała na łóżku i zaczęła prędko mówić swoim cudzoziemskim akcentem:

Wcale nie jestem Murzynką, skądże? Czy Danusia nigdy nie widziała Murzynów, że nie wie, iż Murzyni są czarni, mają wełniste, kręcone włosy, nosy szerokie i płaskie? A ona, Klara, ma skórę jasno-brązową włosy faliste, prosty nos. To nie znaczy wcale, że gardzi Murzynami, nie nie, ale skoro jest Polinezyjką, a Polinezyjczycy są rasą pośrednią pomiędzy Malajami a Europejczykami... A do Europy, do Polski, do Warszawy zawędrowała wcale nie z

własnej woli. Miała sześć lat, kiedy ją zabrano. Właśnie wtedy umarł jej ojciec.

To było tak: ojciec Klary umarł, a matka, która była przyjaciółką żony jednego z wyższych urzędników francuskich...

— Bo może nie wiesz—przerwała swoje opowiadanie Klara — że od roku 1843 wyspy: Tahiti, Tajarapu i Moorea wchodzą w skład Oceanii Francuskiej i są kolonią Francji? No, więc, kiedy ci państwo, przyjaciele mamy, wracali do Francji, zabrali nas ze sobą. A potem, w Paryżu — tu głos Klary załamał się, a na długich rzęsach zawisły łzy — matka moja umarła. Nie mogła znieść tego zimna. A mój opiekun dostał pracę aż w Polsce, więc znów zabrano nie z sobą. Jego żona, przyjaciółka mamy, nie chciała mnie zostawić samej w Paryżu, więc już od trzech lat jestem tutaj. U nich mieszkać nie mogę, bo ciągle podróżują, a ja powinnam się uczyć, więc umieszczono mnie w internacie.

Danusia słuchała z zachwytem. Mój Boże, ta Klara!... Nie ma jeszcze trzynastu lat, a tyle już podróżowała! Danusia, która znała tylko Kraków i Śląsk, bardzo zazdrościła Klarze.

— Czy ty pamiętasz Tahiti? — zapytała i znów zaraz pożałowała tego pytania, bo teraz już łzy wcale nie hamowane zaczęły spływać z rzęs Klary.

— Czy pamiętam Tahiti?—mówiła Klara. — O Boże! Niebo jest tam tak błękitne, tak wspaniale błękitne jak nigdy nie bywa tutaj. A słońce! Nie, wy tutaj nie możecie sobie wyobrazić nawet, jakie słońce jest na Tahiti...

Klara zmęczyła się i umilkła na chwilę. Potem zaczęła na nowo:

— Kiedy jeszcze Tahiti nie było kolonią francuską, dawno, dawno temu, każda z wysp miała swojego władcę, który krwawo nieraz walczył z sąsiadami o swoje państwo. Polinezyjczycy małymi łódeczkami wypływali na połów ryb, Polinezyjki były wesołe, piękne, tańczyły, śpiewały. A potem przyszli biali. Nasze wyspy straciły wolność. Już nie było nam tak dobrze jak kiedyś. Bo przecież Polinezyjczycy nade wszystko kochają swobodę. Z nadejściem białych ludność Tahiti zaczęła wymierać. Całe rody ginęły, było nas coraz mniej i mniej, a teraz na naszej wyspie, najpiękniejszej wyspie na kuli ziemskiej, mieszkają obcy: Europejczycy, Amerykanie, Chińczycy...

— A co oni tam robią? — spytała Danusia.

— Bogacą się — odpowiedziała Klara. — Wywożą koprę, to jest tłuczone i potem suszone orzechy kokosowe, wanilię, perły...

Zapadł już wieczór i Danusia musiała wrócić do domu. Przez chwilę stała nad łóżkiem i patrzyła na czarne loki rozrzucone na białej poduszce. Potem pochyliła się i serdecznie ucałowała Klarę.

— Jak tylko wstaniesz — powiedziała — przyjdziesz do nas. Zobaczysz moją mamusię, tatusia i Włodka. Będziemy razem chodzili na spacery, a na lato może pojedziesz razem z nami. Chciałabyś?

— O, tak! — westchnęła brązowa

dziewczynka: — Ale czy oni, twoi rodzice i brat, nie będą mi dokuczać, że nie jestem biała?

Danusia roześmiała się wesoło.

— Moi rodzice mówią — oznajmiła — że wcale nie jest ważny kolor skóry, ani rasa, tylko to, jaki jest człowiek. Mądry czy głupi, uczciwy czy nie. I czy dobry!...

Białe, dziwne kwiaty Iwate - San

Działo się to dawno, w krainie wschodzącego słońca, daleko, daleko aż w Japonii. Nad brzegiem niewielkiego jeziora stała mała chatka rybacka, należała ona do rybaka, starego Japończyka Tsi-San. Rybak ten był bardzo ubogi, na świecie nie miał nikogo już, oprócz swej małej ośmioletniej córeczki Iwate - San, którą nad życie kochał. lecz niestety już od najmłodszych lat swego życia mała japoneczka chorowała. Często leżała w chacie ojcowej na macie plecionej, bledziutka i słaba, a ojciec nic jej pomóc nie mógł.

Pewnego dnia, w chacie rybackiej, starego Japończyka nie było, a córka jego Iwate-San leżąc cicho spała. Gdy nad wieczorem dopiero, się obudziła, ujrzała już swego ojca, który wróciwszy siedział obok niej na ziemi, spojrzała na niego i wyszeptała:

— Ojcze, miałam śliczny sen — posłuchaj opowiem ci. śniłam dzisiaj o bogini kwiatów, którą widziałam w otoczeniu ślicznych białych kwiatów, których ja ani ty ojcze, nigdy w życiu nie widzieliśmy. Bogini wzięła w rękę jeden z tych białych kwiatów i rzekła do mnie:

— „Patrz, Iwate - San ten kwiat powróci ci zdrowie".

I wtedy ja się obudziłam. Proszę cię tedy ojcze mój, poszukaj tego kwiatu, a wróci on mnie napewno zdrowie, jak przepowiada bogini kwiatów.

Tsi-San uważnie wysłuchał słów swej córki, po czym rzekł:

— Dobrze, udam się na poszukiwanie tego kwiatu, gdyż zdrowia twego bardzo pragnę, Iwate-San...

Zaraz następnego dnia równo ze wschodem słońca, Tsi-San udał się na poszukiwanie tego kwiatu, który miał zwrócić zdrowie małej Japoneczce. A Iwate-San została sama w chacie, rozmyślając o białym kwiecie.

Gdy słońce ostatnim odblaskiem odbiło się w wodzie małego jeziora wrócił Tsi-San do swojej chatki, gdzie czekała go z upragnieniem mała Iwate-San. Obładowany był przeróżnymi kwiatami koloru białego. Wszystkie położył obok posłania córki na ziemi i pokolei pokazywał jej kwiat za kwiatem. Lecz Iwate-San potrząsała wciąż głową i szeptała zasmucona:

— Nie, to nie taki kwiat, który pokazała mi bogini kwiatów, tamten był piękniejszy.

— Są to wszystkie kwiaty —rzekł Tsi-San — jakie tylko potrafiłem znaleźć, nie mam już nadziei odnaleść twego kwiatu, o którym śniłaś.

Od tego czasu ojciec i córka posmutnieli, a Iwate-San odtąd coraz bardziej zapadała na zdrowiu. Stary Japończyk Tsi-San był zrozpaczony, nie pomogły jego poszukiwania, kwiatu, o którym śniła jego córka nie potrafił odnaleść.

Pewnej nocy ktoś zastukał do chaty rybaka. Był to mały chłopiec, który zabłądził idąc do miasta. Stary Japończyk choć nie mógł zobaczyć przybysza, bo ciemno było w chacie udzielił mu jednak noclegu, nawet poczęstował zgłodniałego chłopca suszoną rybą i ryżem. Wkońcu zapytał jak się nazywa i dowiedział się, że mały gość jest handlarzem kwiatów i zwie się Lian-Fu. Po czym mały chłopiec i Japończyk Tsi-San udali się na spoczynek.

Na drugi dzień rano, gdy do chaty rybaka zajrzały pierwsze promienie wschodzącego słońca, obudział się Iwate-San, spojrzała na śpiących jeszcze Japończyków i zdumiała się, obok małego gościa San Fu, które miały przywrócić jej zdrowie a były to te same, o których śniła, a które miały powrócić jej zdrowie

— Ojcze — wzruszonym głosem wyszeptała mała Japoneczka.

Tsi-San obudził się i natychmiast podszedł do córki.

— Patrz ojcze — szeptem mówiła pokazując na leżące białe kwiaty Iwate-San — to te wyśnione moje kwiaty.

Japończyk zdziwił się także, ale zarazem ucieszył, obudził swego gościa i zapytał go skąd ma te kwiaty. Sian-Fu powiedział mu, że kwiaty białe zwane chryzantemami sprzedaje on w mieście, a gdy Japończyk prosi go, aby je jemu sprzedał, chłopiec z wdzięczności za udzielony nocleg, wszystkie kwiaty mu ofiarował w podziękowaniu za jego dobroć.

Iwate - San natychmiast wyciągnęła rączki po swe wyśnione kwiaty, a na bladej dotąd twarzyczce wykwitły rumieńce.

Od tego czasu mała Japoneczka powracała stale do zdrowia. Często też wychodziła przed chatę, a zawsze w dłoniach i włosach miała białe chryzantemy, które wróciły jej zdrowie.

WIOSNĄ PACHNIE!...

To nic, że śnieg jeszcze pada,
że dni pełne jeszcze smutku —
już o wiośnie nawet gada
deszcz, co chlapie powolutku.

To nic, że jest jeszcze zimno
Wiatr zimowej pełen siły
wieść już z pól przynosi inną:
już skowronki powróciły.

To nic, że świat, jak w jesieni,
w mgłę się tuli aksamitną.
Już niedługo coś się zmieni
I śnieżyczki już zakwitną.

W złote, ciepłe nam południe,
gdy tak dziwnie pachnie wszystko,
słońce — świecąc już najcudniej—
zapowiada wiosnę blisko.

Wszystko wieść już niesie lotną,
aż u ramion skrzydła rosną:
pachnie ziemią skądś wilgotną,
pachnie wiosną—...pachnie wiosną.

Koralowa opowieść

— A kto tobie te korale
założył na szyję?
Nie widziałem takich wcale,
jak na świecie żyję,
Marysiu

— Darowała mi je mama miła.
Założyła mi je własną ręką.
Na jarmarku je dla mnie kupiła,
Kasieńko
— A i z czegóż one zrobione,
te korale drobniuśkie, czerwone,
Marysiu?
Oj, czerwone, oj, ładne!
Takie ładne jak żadne,
Marysiu!

— O, to długa opowieść.
Jeśli chcesz, to ci powiem,
Kasiu.
Wszystko ci powiem, ale
zgadnij sama, skąd korale.
— Z lasu!
— Oj, nie z lasu, dziewczyno,
nie z boru,
choć podobne jarzębinom
z koloru .
A i także na kalinach nie rosną,
ani latem, Kasiuleńko, ni wiosną.

— Wyglądają jakby z kamienia.
Tylko takich kamieni nie ma.
— Nie ma takich kamieni
ni na ziemi, ni w ziemi.
— To już wiem, Marysieńko:
z fabryki!
Czy maszyną, czy też ręką
sposobią tam gładziusieńko
koraliki, paciorki
w różne barwy i wzorki
— Nie, Kasieńko, nie zgadłaś.

Nie zgadniesz.
Te korale rosły w morzu na dnie,
w takim morzu, stąd o mil tysiące,
gdzie są wody słone i gorące.

—Może prawda. Przecie i bursztyny
także z morskiej pochodzą głębiny.
Ale to mi na dziw się zdaje.
Ktoby jeździł w te morskie kraje?

— Jeżdżą, Kasiu, wędrowcy od nas
i badają morze aż do dna.
Oni wiedzą, gdzie na dnie do słonka
rosną kwiaty podwodne
jak łąka,
gdzie zwierzątka żyją w głębokości,
co to mają koralowe kości.

— Z tych korali?

— A z tych, Kasieńko.
Na tych kostkach rosną masą miękką.
A gdy umrą, to w morzu na dnie
zdąży szkielet na kamień stwardnieć.
Wydobyty, wygładzony zgrabnie
jedzie w świat i służy ku ozdobie
albo wreszcie mnie, albo tobie...
jakiejś Zosi, Jadwidze lub Jagnie,

—Straszne mówisz, Marysiu dziwa!

—To, Kasieńko, prawda prawdziwa
Sama tego nie zmyśliłam wcale,
nikt mi o tym nie mówił nic.
Powiedziały mi to moje korale,
Gdy je wczoraj nad książką
nizałam na nić...

„entliczki-pętliczki”

DOBRE ROZWIĄZANIA nadesłali:

Krychna, Irusia Pfeifferówna, Z. Czechówna, Lodzia Kołatówna, Kazia Ślusarczykówna, Krysia z Leśniczówki, Danusia Widłakówna, Jaskółka, Słoneczko, Śnieżyczka i Irena Prażakwna z Będzina, A. Bordo z Dąbrowy, Zygmuś Nowiński z Czeladzi, J. Klickowski z Olkusza, A. Dębski z Niwki, Jacek Nawrot z Zagórza, Z. Klis z Wolbromia, A. Dzięwęcki, Cz. Polus, G. Gamrott, B. Pręciński z Sosnowca i Harcerz z Klimontowa, Krysia Oskólska z Sosnowca.

NAGRODY za dobre rozwiązanie otrzymali:

Irena Prażakówna z Będzina, Cz. Polus i B. Pręciński z Sosnowca.

Łamigłówka

ułożył J. Ostrowski

Pierwsze litery czytane z góry na dół dadzą rozwiązanie.

1) Miasto w Polsce, 2) Inaczej arsenał, 3) Samogłoska, 4) Władca, 5) Drzewo, 6) Kraj w Europie, 7) Inaczej nawałnica, 8) Zwierzę morskie, 9) Ptak, 10) Ręczna broń palna, 11) Zawód.

SYLABY: Ka — wa — zb —gia kan —ży—bin—min —niew— or — nia—we— mo—a—nar— wie —jow ka—cha—ło—y— —lo —nor — cja So—s—ra —in —ro — ryb.

Logogryf

uł. Krychna z Będzina

1
2
3
4
5
6
7
8
9



W powyższą figurę należy wpisać odpowiednie wyrazy tak, by czytany pierwszy rząd pionowo dał bardzo aktualną rocznicę:

1) Rośnie na łące, 2) Część tułowia, 3) Zjawisko polarne, 4) Okres czasu, 5) Tytuł człowieka, który rządził w starożytnym Rzymie, 6) Imię żeńskie, 7) Ryba, 8) Jest w cyrku, 9) Inaczej nazajutrz.

Szarada

ułożyła L. G.)

Przeciw **pierwszemu z drugim**
ten grzeszy, kto w **drugie-trzecie**
wierzy z ufnością.
By **trzecie-czwarte** na świecie
skroń uwieńczyło talentem trzeba
zablysnąć,
Wielkością
Razem złożycie tych sylab cztery,
w imię kobiece
z łatwością.